

Zacząć od nowa...

Siedzieli przede mną w teatrze dwa podlotki. Długie końskie ogony. Z uwagą i napięciem śledziły przebieg akcji. A kiedy na początku drugiego aktu na scenie ukazują się Marat, który wrócił szczęśliwie z wojny jako bohater Związku Radzieckiego, sympatyczne dziewczynki aż się ucieszyły z radości.

Po co o tym wspominam? Wydaje się, że teatr dopiero wówczas spełnia swoje zadanie, jeśli potrafi emocjonalnie zaangażować widza w sprawy dziejące się na scenie. A sztuka Arbuzowa, jak łatwo zaobserwować, nie pozostawia widza obojętnym. I nie tylko dlatego, że tyle się mówi o miłości.

Byłoby bowiem dużym uproszczeniem traktować sztukę Arbuzowa wyłącznie jako sztukę o miłości. Owszem, miłość przewija się jako motyw przez wszystkie trzy akty, przez kilkanaście scen, na której została podzielona. Od pierwszych chwil, kiedy w Leningradzie, w tych najstraszniejszych dniach krwawiącego miasta, rodzi się jakże delikatne, czyste, niewinne jeszcze wstydlive uczucie pomiędzy szesnastoletnią Lilią i zaledwie rok starszym Maratem. Poprzez radosne dni zwycięstwa, kiedy mają realizować się marzenia snute w tam-

tych mrocznych dniach wojny. Kiedy można samemu decydować o planach życiowych, zawodzie, miłości. Aż do ostatnich scen, rozgrywających się trzynastcie lat później, kiedy troje ludzi dokonuje rozliczenia. Ziściły się marzenia? Spełniła się miłość poczęta w kwietniowych dniach pamiętnego 1942 roku?

Ale czas rozrachunku — to nie tylko sprawy miłości. To rozliczenie własnej postawy życiowej, i Lili, która zarzuciła ambitne plany naukowe na rzecz posady z dobrą pensją, i Leonka, którego poezja miała wstrząsnąć ludźmi, a dziś zadawała się skromnymi tomikami, to i Marata, który gdzieś tam na dalekiej północy buduje mosty, a kiedy stanął przed życiową decyzją — zawahał się i stchórzył.

Jednak wspólne spotkanie po trzynastu latach skłoniło bohaterów sztuki do podjęcia decyzji. Bo — jak mówi Marat — „nawet dzień przed śmiercią nie jest za późno zacząć życie od nowa”.

I podejmują taką decyzję. Niełatwą. Trudną. Bez gwarancji jej powodzenia, chociaż trójce bohaterów serdecznie tego życzymy. Bo przecież każdy z nas w pewnym momencie staje przed koniecznością takiego rozrachunku. Nie każdy

jednak ma odwagę podjąć taką decyzję.

Bohaterzy Arbuzowa przegrali przeszłość. Ale przyszłość przed nimi. Wszystko to opowiedziane subtelnie, w sposób niezmiernie kameralny. Bez wielkich słów. Tak bardzo po ludzku o jakże ludzkich przeciż sprawach.



Czesław Stopka jako Marat, Michał Rosiński jako Leonek i Wanda Ostrowska w roli Lili.

(Fot. Dukiewicz)

Wydaje się, że reżyserka przedstawienia — Krystyna Tyszarska, słusznie i właściwie odczytała tekst, nadając przedstawieniu jakże ścieniotawny ton. Trójka aktorów umiała wywiązać się z nietawego

zadania. Przepięcie od pierwzych scen do ostatnich mija 17 lat. O tyle lat stają się dojrzalsi, bardziej doświadczeni. Te przemiany dokonują się na naszych oczach. Bo Marat, chociaż pozostał tym samym burzliwym, zapalczywym chłopcem z leningradzkiego poddasza — stał się człowiekiem doświadczonym przez życie. Nieporadny trochę Leonek podejmuje jakże odważną decyzję...

Wymieńmy więc tylko aktorów, pięknie im dziękując: Wanda Ostrowska (Lila), Czesław Stopka (Marat) i Michał Rosiński (Leonek — czemu nie po prostu Lonia?)

Scenografia Antoniego Muszyńskiego nie przekroczyła granic poprawności.

Tylko, moi drodzy, poprawcie te głośniki. Dobywa się z nich bełkot podobny do dworcowego z megafonów. I zmieńcie patelnie, w którą tłucze się bez litości po każdej scenie. Wypożyczcie — jeśli już musi być — z filharmonii jakiś uczciwy gong. I jeszcze jedno. Ten fajerwerk na zakończenie psuje, niweczy nastrój ostatnich scen. Obejdzie się bez niego. Naprawdę.

MICHAŁ KORCZYŃSKI

Aleksy N. Arbuzow „MOJ BIEDNY MARAT”, premiera 6 listopada w Teatrze Kameralnym w Budapeszcie. Przekład: Halina Zakrzewska i Roman Szydłowski. Reżyseria: Krystyna Tyszarska. Scenografia: Antoni Muszyński. Opracowanie muzyczne: Grzegorz Karada, Polska nagraniem.